

ZYGMUNT BRONIAREK

# Jak

nauczyłem się  
ośmiu języków



Zygmunt Broniarek

JAK nauczyłem się  
ośmiu języków

Text © Copyright by Wojciech Broniarek

Projekt okładki: MB&MA

Ilustracja na okładce: Fotolia/ Zarya Maxim

978-83-922502-2-2

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Rozpowszechnianie i kopiowanie całości  
lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody  
właściciela autorskich praw majątkowych.

# Spis treści

Wstęp	5
ROZDZIAŁ PIERWSZY	
Chusteczka pani Kownackiej	13
ROZDZIAŁ DRUGI	
Lingwafon do portugalskiego	22
ROZDZIAŁ TRZECI	
Nieudana psychotechnika	28
ROZDZIAŁ CZWARTY	
Podstępny i triki	45
ROZDZIAŁ PIĄTY	
Mówię po hiszpańsku w Polskim Radiu	57
ROZDZIAŁ SZÓSTY	
Tłumacz czy zdrajca?	66
ROZDZIAŁ SIÓDMY	
Wielki Zgrywus z Kalifornii	75
ROZDZIAŁ ÓSMY	
Mira Michałowska i Jerzy Kosiński	90
Dziesięć przykazań	94
Zakończenie	96

# Wstęp

W niedzielę, 25 lutego 1990 roku w weekendowej rezydencji prezydentów amerykańskich zwanej Camp David (od imienia wnuka Dwighta D. Eisenhowera, Davida, który, notabene, ożenił się z córką Richarda Nixona, Julie) miała się odbyć wspólna konferencja prasowa prezydenta George'a Busha i kanclerza RFN, Helmuta Kohla.

Camp David położony jest w odległości około 90 kilometrów na północ od Waszyngtonu, niemal nad granicą stanu Maryland ze stanem Pennsylvania, w pobliżu miasteczka Thurmont. Dwa dni wcześniej, tj. 23 lutego, powróciłem z wielkiej wyprawy do stanów Wyoming, Idaho i Montana, czyli z Gór Skalistych, gdzie w lokalnych komitetach spraw zagranicznych wygłaszałem pogadanki na temat Polski, Europy Wschodniej, Związku Radzieckiego oraz wszechświata, bo dzisiaj wszystko ze wszystkim się kojarzy.

Zamiast jednak dowiedzieć się od razu, dokładnie, jak trafić do Camp David, zdałem się na swój własny instynkt. Uważałem, że jeżeli przyjadę tam odpowiednio wcześnie, to nie tylko dowiem się wszystkiego na miejscu, ale jeszcze zdążę w sali prasowej zająć jedno z pierwszych miejsc. Pomysł zaaprobowала moja żona, Elżbieta, która, siadając za kierownicę, powiedziała! Będziemy dwie godziny przed wszystkimi.

Jednakże, kiedy przyjechaliśmy do Thurmont, okazało się, że jedyną informacją, jaką zdobyliśmy, była wiadomość o istnieniu Ośrodka Gościnnego, ale nie dla gości, przybywających do Camp David, tylko dla turystów, zwiedzających

Park Narodowy Gór Catocin, w którym Camp David jest położony.

Pojechaliśmy do Ośrodka Gościnnego. Tam policjantka parkowa (a jakże, w USA istnieje i policja federalna, i policja stanowa, i policja uniwersytecka, i policja parkowa, nie mówiąc o prywatnej policji i służbach ochronnych), otóż pani policjantka parkowa połączyła się z ochroną Białego Domu i przekazała mi informację, bym udał się natychmiast do restauracji „Cozy” („Przytulna”) w miasteczku Thurmont, skąd autobus prasowy zabierze dziennikarzy do Camp David.

Ale autobus prasowy już odjechał. Zaczęliśmy się błąkać. Napisu żadnego, choćby najmniejszego, na drogach nie było, bo Biały Dom wcale nie chce reklamować Camp David. 85 procent turystów, przybywających do Parku Narodowego Gór Catocin, nie wie, że właśnie tu się znajduje Camp David. Jeździmy więc po różnych drogach, ruchu prawie nie ma, bo to niedziela, nie można o nic zapytać, bo nikogo nie ma. Dostaję gorączki, drżączki, paraluszu, odczuwam suchość w gardle, irytuję się i wściekam, że się tak urządziłem. Wreszcie mówię do żony:

— Wracamy do miasta.

Jedziemy. Aż tu nagle, widzimy na skrzyżowaniu samochód, który się zatrzymuje na nasz widok. Nie, to nie znajomy. To ktoś, kto także poszukuje Camp David. Zatrzymał się na wszelki wypadek, licząc na łut szczęścia. Pytamy młodego mężczyznę, który właśnie wracał z kościoła, gdzie jest Camp David. Ze śmiechem odpowiedział:

— Tam, za rogiem.

Dojeżdżamy więc do upragnionej policyjnej bariery.

Pokazuję policjantowi parkowemu, szczupłemu chłopakowi, który w niczym nie przypomina policyjnych gigantów z filmów, legitymację prasową Białego Domu. On łączy się za pomocą „walkie-talkie” z Biurem Prasowym Białego Domu, które z tej okazji przeniosło się do Camp David, i z trudem wymawia moje nazwisko. Na to ja:

— Niech pan powie, że to Ziggy, tak mnie nazywają w Waszyngtonie.

— Jak ta postać z komiksów?

— Tak.

Policjant mówi więc to, o co go proszę, ale używa skrótu następującego: AKA. Nie, to nie AK. To „Also Known As”, czyli „znany także jako”, czyli Broniarek, pseudonim Ziggy. Skrótu AKA używa się w odniesieniu do pisarzy, aktorów i przestępców.

Do Camp David zabiera nas ze skrzyżowania samochód policyjny. Dojeżdżamy do dużego, drewnianego budynku, który wygląda jak elegancka remiza strażacka. Znajduje się tu zaimprovizowana sala prasowa wraz z odpowiednią sceną.

Przybywam w ostatniej chwili, a więc nie mogę nawet marzyć, by otrzymać miejsce w jednym z pierwszych rzędów. Dobrze, że jest jeszcze wolne krzesło niemal na samym końcu, co oznacza, że nie będzie szansy zadania jakiegokolwiek pytania. Za każdym bowiem razem, kiedy taka szansa powstanie i wyrosnie przede mną las rąk dziennikarzy amerykańskich i zachodnio-niemieckich to ani Bush, ani Kohl, mojej ręki nawet nie zauważą. A przecież obaj mężowie stanu, w czasie swoich dwudniowych rozmów, bardzo wiele uwagi poświęcili sprawie zjednoczenia Niemiec i sprawie Polski,

a zwłaszcza jej granicy.

Bush i Kohl wchodzi na scenę. Różnica między nimi jest olbrzymia. Bush — wysoki, szczupły, ma wygląd arystokraty i jak arystokrata w niedzielę przed południem — ubrał się wprawdzie w garnitur i nosi krawat, ale ma brązową sportową koszulę w kratkę. Natomiast Kohl — to czołg, wyrosnięty zarówno wzwyż, jak i wszerek, z piersią potężnie wypiętą, ubrany w elegancki garnitur i w białą koszulę.

Najpierw przemawia Bush, po nim, po niemiecku — Kohl. Tłumaczenie odbywa się przez słuchawki. Wszelkie konferencje prasowe mają wspólną cechę: tuż po zakończeniu słowa wstępnego, w momencie, kiedy ma się zacząć zadawanie pytań, następuje zawsze moment ciszy. Jeżeli więc jesteś reporterem, nie reprezentującym wielkich amerykańskich, a w tym przypadku, również zachodniemieckich środków masowego przekazu, to korzystaj z tej jednej, jedynej, chwili, zwłaszcza, gdy znajdujesz się na końcu sali. Po tym — nastąpi lawina pytań, a ty pozostaniesz bez szans.

Wyskakuję więc ze swego krzesła jak z procy, wiem jednak, że jeżeli zadam pytanie po angielsku, nie tylko inni dziennikarze zakrzyczą mnie, ale Kohl może mnie nie zrozumieć — tłumaczenie zajmie trochę czasu, powstanie zamieszanie, i odpowiedzi nie otrzymam.

Natomiast Kohl będzie musiał zareagować na język niemiecki. Krzyczę więc: Ich bin ein polnischer Journalist und Sie, Herr Bundeskanzler, haben gesagt... (Jestem polskim dziennikarzem, a pan, panie kanclerzu federalny, powiedział...)

Pierwszy cel osiągnąłem. Kohl słucha. Słucha także Bush,



który mnie zna i który patrzy na mnie z lekkim zdziwieniem, bo albo nie wie, że umiem mówić po niemiecku, albo nie rozumie, co mówię. Sens mojego pytania jest następujący: „Powiedział pan, panie kanclerzu federalny, w swoim słowie wstępnym, że choć granicę polsko-niemiecką może zatwierdzić ostatecznie tylko parlament ogólnoniemiecki, to pan nie uważa, iż będzie to stanowić okazję do przesuwania granicy. Czy oznacza to, że uznaje pan tę granicę za ostateczną?”

Kohl odpowiada dokładnie, jak w słowie wstępnym. Nie wychyla się ani na jotę. Praktycznie więc może się zdawać, że nie osiągnąłem niczego, i sam tak myślę w tym momencie. Czekam jednak niespodzianka.

Bush słucha tłumaczenia odpowiedzi Kohla przez słuchawki. Po moim pytaniu, pada pytanie jednego z dziennikarzy amerykańskich, na które odpowiada prezydent. I natychmiast dodaje: „Jeżeli zaś chodzi o granicę polsko-niemiecką, to Stany Zjednoczone, zgodnie z Aktem Helsińskim, uważają ją za ostateczną.”

Czyli — pomaga mi. Oczywiście — nie ze względu na moją osobę, tylko dlatego, że taka jest polityka USA wobec naszej granicy. Ale nie jest wykluczone, że bez mojego pytania zadanego po niemiecku, sprawy tej nie poruszono by na tej konferencji prasowej.

Zdarzenie w Camp David jest tylko drobnym potwierdzeniem znaczenia znajomości języków obcych. Nie muszę tego tutaj uzasadniać, ponieważ słuszność tego stwierdzenia jest oczywista. Ale chciałbym, zwracając się szczególnie do młodzieży, podkreślić podstawową prawdę: cała moja dziennikarska kariera oparta jest na znajomości języków obcych.

Wcale nie pomogło mi w niej wykształcenie wyższe (nie było ono zresztą specjalnie głębokie, ukończyłem bowiem tylko trzyletnią Szkołę Główną Handlową w Warszawie), natomiast języki obce i pewne umiejętności techniczne, jak stenografia i pisanie na maszynie — okazały się bezcenne. Bez nich nie dotarłbym ani do Białego Domu, ani do Pałacu Elizejskiego, ani do Pałacu Królewskiego w Sztokholmie, ani do Włoch, Portugalii, Mozambiku, Boliwii, czy czterdziestu innych krajów.

Ale znajomość języków obcych — to nie tylko wielka pomoc w zawodzie dziennikarskim i praktycznie w każdym innym — to również szansa poznania nowych światów, o których istnieniu nawet się nie wie.

W czasie okupacji, na kompletach, prowadzonych przez moją szkołę — Gimnazjum i Liceum im. Władysława IV w Warszawie — religii uczył nas ksiądz Barański. Mawiał on do nas tak: „W niebie panuje zasada absolutnej szczęśliwości. Absolutnie szczęśliwy będzie ten, kto nie ma żadnego wykształcenia, i ten, kto skończył cztery fakultety. Ale szczęście tego drugiego będzie pełniejsze niż szczęście pierwszego, ponieważ znajdzie on w niebie odpowiedzi na wszystkie pytania, które powstały w jego umyśle w czasie kształcenia się na ziemi. Co więcej, ten pierwszy, ten bez wykształcenia, nie będzie nawet wiedział o zakresie szczęścia tego z czterema fakultetami.”

Zdaję sobie oczywiście sprawę, jakie motywy kierowały księdzem Barańskim; chciał nas po prostu zachęcić do nauki. Ale per analogiam, można jego wypowiedź odnieść do problemu znajomości języków obcych. Ktoś, kto zna np. nie-

miecki, ale nie zna włoskiego, nie ma nawet pojęcia, jakie skarby kryje literatura włoska, bo przecież tylko podstawowe dzieła tej literatury są tłumaczone na inne języki, podczas, gdy ogromna ich większość dostępna jest wyłącznie w oryginale. Dotyczy to również tak utylitarnych dziedzin, jak prasa. Znając włoski, odkrywamy to, o istnieniu czego wcześniej nie wiedzieliśmy.

Nauka języka obcego kształci nasz umysł. Przede wszystkim pamięć, ale również umiejętność kojarzenia różnych pojęć, co przydaje się zwłaszcza wtedy, kiedy zna się więcej niż jeden język obcy. Wreszcie — uczenie się języków obcych jest wielką przygodą, w czasie której dokonuje się coraz to nowych odkryć. Na przykład. Wydaje mi się, że znam dobrze angielski — obcuję z tym językiem od 1937 roku — a dopiero teraz dowiedziałem się, że na określenie „wyboru” ma on nie tylko słowo „choice” (od francuskiego „choisir”) i nie tylko „election” (także od francuskiego „election” i łacińskiego „electio”), ale i „wahlen” (od niemieckiego „wahlen”); sięgnijcie po, doskonały zresztą, słownik angielsko-polski Jana Stanisławskiego, ale znaczenia tego nie znajdziecie. Według niektórych autorytetów, uczenie się języka obcego kształci umysł lepiej niż matematyka.

Niniejsza książeczka jest opowieścią o tym, jak się uczyłem języków obcych. Może przyda się ona Czytelnikowi, w czasie, w którym porozumienie z mieszkańcami innych krajów interesuje wielu Polaków.

#### *Wskazówki*

*1. Jeżeli, w dzisiejszych czasach, chcesz coś osiągnąć, musisz znać języki obce.*

*2. Podstawowym językiem obcym jest angielski. Jeżeli nie znasz żadnego języka obcego, nie marnuj czasu na uczenie się francuskiego, niemieckiego, włoskiego itd., zanim nie nauczysz się angielskiego.*

*3. Dopiero po nauczaniu się angielskiego, ucz się innych języków obcych.*

Niewielka książeczka wydana po raz pierwszy w 1977 roku pod tytułem *Jak się nauczyłem sześciu języków* (od tego czasu nauczył się jeszcze dwóch) nic nie straciła na wartości. Autor: dziennikarz, publicysta, felietonista ... i gawędziarz, przedstawił w niej jak jeszcze przed II wojną światową przystąpił do nauki języków. Utrzymana w anegdotycznej formie, zawiera szereg konkretnych wskazówek, które czytelnikowi mogą ułatwić zdobycie tej znakomitej umiejętności.